

Tematy tygodnia

- 12 Ewa Siedlecka
Prezydent reformuje sądy
- 14 Martyna Bunda
Prawa rodziców i prawa dziecka
- 16 Jakub Bierzyński
Kto odpowie za aferę billboardową

Polityka

- 20 Joanna Solska
Bieda z emeryturami



- 24 Anna Dąbrowska
Rzecznik Łapiński – znawca PiS

Społeczeństwo

- 26 Ewa Wilk
Winy i obowiązki elit
- 30 Ryszarda Socha
Polityczne porachunki po nawałnicy
- 34 Marek Henzler
Lustracja szkolnych patronów
- 36 Edyta Gietka
Legalna miłość na godziny
- 38 Agnieszka Sowa
Wegetarianizm – więcej niż moda

Rynek

- 40 Adam Grzeszak
Czym będziemy jeździć w niedalekiej przyszłości
- 43 Rozmowa z prof. **Michaeliem Sandelem** o populizmie, symetryzmie i kapitalizmie

Świat

- 50 Aleksandra Lipczak **HISZPANIA Kataloński węzeł gordyjski**
- 53 Adam Szostkiewicz
W. BRYTANIA Brexit – krok w przód, krok w tył
- 56 Maciej Okraszewski **URUGWAJ Państwo zarabia na marihuanie**

Historia

- 58 Andrzej Krawczyk
Tajny zjazd Kominformu w Szklarskiej Porębie



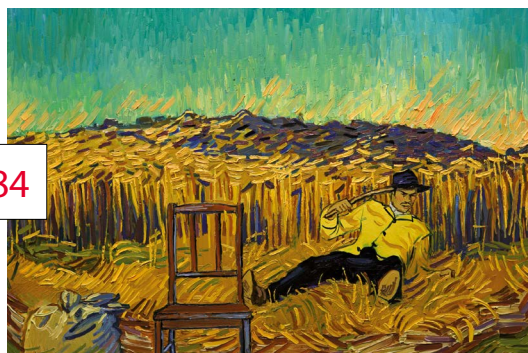
14

Czyje są dzieci



16

Z fundacji do więzienia?



84

65 tysięcy obrazów
Vincenta van Gogha

100

Wśród bojowników
Prawego Sektora

- 61 Adam Krzemiński
III Rzesza: triumf propagandy, klęska państwa

Nauka

- 64 Edwin Bendyk
Ministra Gowina pomysły na szkolnictwo wyższe
- 67 TECHNOECHO
- 68 Paweł Walewski
Jak w Polsce leczy się raka

Kultura

- 74 Marcin Piątek
Upadki i wzloty reżysera Patryka Vegi
- 78 Piotr Sarzyński
Poznańska wystawa Fridy Kahlo i Diego Riveri
- 82 Rozmowa z pisarką
Anna Cieplak o walorach buntu i prowincji
- 84 Janusz Wróblewski
Poruszone obrazy i poruszający van Gogh
- 87 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

Ludzie i style

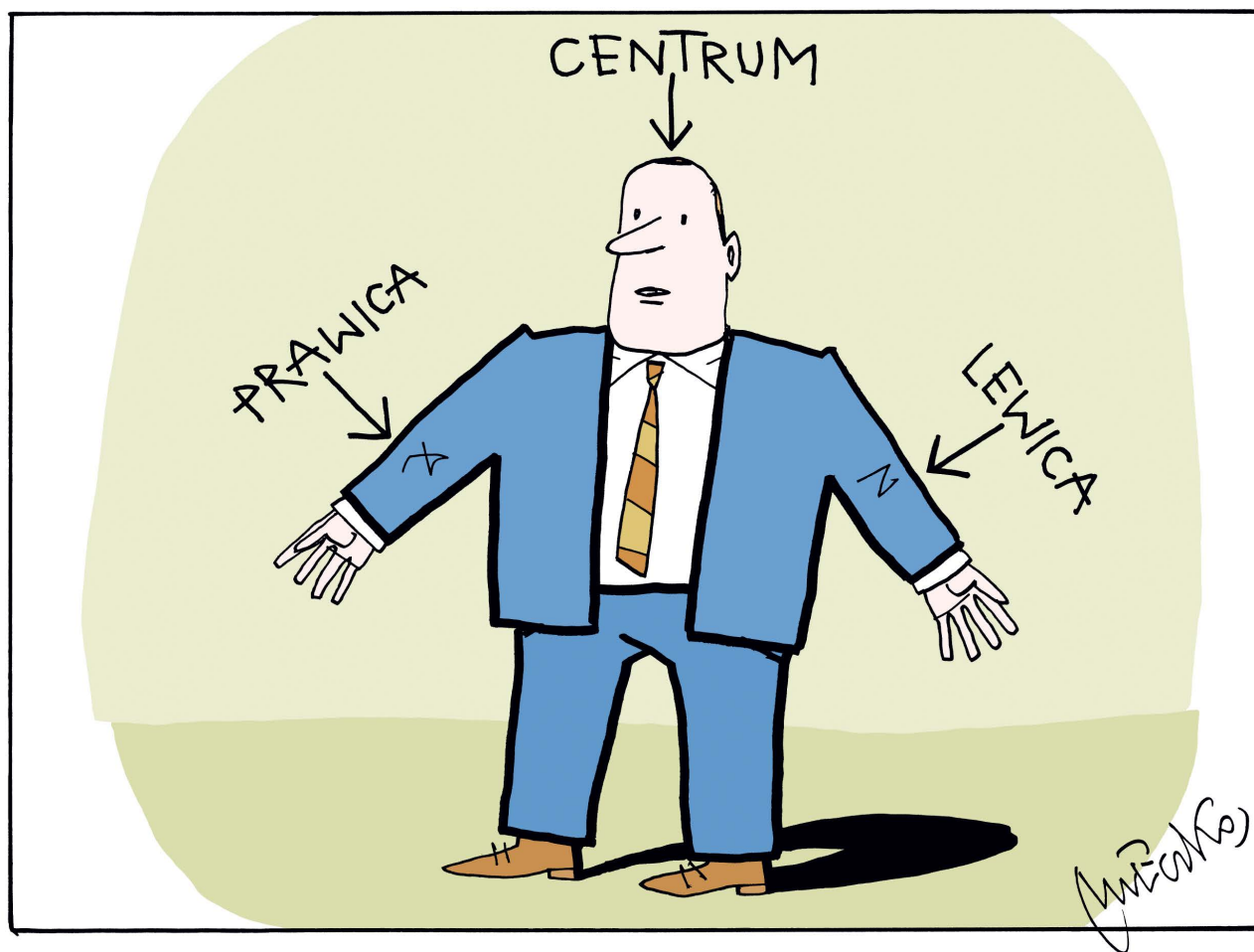
- 88 Rozmowa z **Piotrem Pustelnikiem**, jednym z trzech polskich zdobywców Korony Himalajów
- 91 Janusz Wróblewski
Gdynia nagradza młodych

Na własne oczy

- 100 Tekst i fotografie Tomáš Forró
Bojownicy Prawego Sektora – różne odcienie nacjonalizmu

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 70 Afisz • 94 Passent
- 95 Chutnik i Plebanek
- 96 Hartman • 97 Tym
- 98 Do i od redakcji
- 99 Fusy, plusy i minusy
- 106 Polityka i obyczaje



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Kiła mogiła

Partia rządząca cywilizuje co się da, ale czasem jest niestety bezradna. Weźmy takich uchodźców. „Tych ludzi się nie da ucywilizować. Syf, kiła i mogiła” – narzekał niedawno na posiedzeniu Senatu senator Bonkowski z PiS. „Jeśli wy mówicie, że można ich tu przyjmować, to wy w ogóle nie macie zielonego pojęcia”. Pan Bonkowski, z wykształcenia stolarz tapicer, wie, co mówi, bo odwiedzał miejsca, z których uchodźcy pochodzą. „To tak, jakbyście z salonu weszli do chlewu” – ostrzega, uściślając, że nie chce bynajmniej obrażać polskich chlewów, w których panuje czystość i wysoka kultura. Bonkowski nie ma wątpliwości, że ludzie żyjący w chlewie kulturowo nas nie ubogacą, ale co najwyżej zrobią u nas taki sam chlew. Dlatego nie ma sensu ich przyjmować, zwłaszcza że PiS dopiero co uprzątnął chlew, jakiego narobiła Platforma, a tych, którzy najbardziej naświnili, oderwał od koryta.

Przeprowadzanym w kraju zmianom cywilizacyjnym towarzyszą zasadnicze zmiany ewolucyjne. Rośnie np. liczba Polaków przekonanych, że nie pochodzą od małpy. Nowy, niepodważalny dowód na to przedstawił kilka dni temu w rozmowie z „Gazetą Wyborczą” mec. Roman Giertych. „Jeżeli mój ojciec twierdzi, że nie pochodzi od małpy, a ja przecież pochodzę

od niego, to ja też nie pochodzę od małpy. To proste” – argumentował, zapewniając, że on i ojciec nie mają z małpami nic wspólnego, bo pochodzą od Boga.

Uważam, że z ojcem R. Giertycha nie ma się co spierać, ponieważ skończył Oxford, jest profesorem i na pewno doskonale wie, od kogo pochodzi. Jestem zresztą pewien, że także senator Bonkowski nie wypadł małpie spod ogona. Szczerze mówiąc, wątpię, żeby jakkolwiek inteligentna małpa dała się przekonać, że jest przodkiem Bonkowskiego. Chociaż z drugiej strony, jeśli osoby takie jak Bonkowski miały stworzyć Bóg, to obowiązkiem nauki powinno być ustalenie, o co Bogu konkretnie w tym projekcie chodziło.

Boskie pochodzenie niektórych Polaków bardzo wyróżnia ich na tle pozostałych Europejczyków. Nic dziwnego, że Chrystus jest dziś królem Polski, a nie Niemiec czy Francji, i że nasza cywilizacja kusi wielu Europejczyków, którzy chętnie by się do nas przeprowadzili. W prasie czytam, że pewna Norweżka już poprosiła w Polsce o azyl razem z dzieckiem, które w Norwegii chcieli jej odebrać z powodu jej „chaotycznego stylu życia” i uzależnienia od leków. W Polsce za takie rzeczy odebranie dziecka żadnej kobiecie oczywiście nie grozi, co najwyżej grozi jej, że jak ktoś ją zgwałci, będzie musiała mieć z tym kimś kolejne dzieci.





Atrakcyjne
ceny

Teraz Lidl
sprzedaje
podróże.



Zupełnie nowy projekt Lidla –
podróże z pomysłem! Turystyka
różnorodnych doświadczeń
i niesamowitych wrażeń,
odkrywająca zarówno piękno
polskich regionów, jak
i niezwykle zakątki świata.

infolinia i sprzedaż:
+48 61 862 22 22

www.lidl-podroze.pl

Już od 12 września!

Bogaty program Lidl Podróże obejmuje:

- atrakcyjne wyjazdy krajowe i zagraniczne,
- unikatowe, niepowtarzalne wycieczki i okazje cenowe,
- dopasowanie do różnych potrzeb podróżniczych:
odpoczynek, zwiedzanie, aktywność, city & events, relaks, Polska,
- aktualizację oferty co 2 tygodnie o nowe propozycje –
w sprzedaży tylko przez 4 tygodnie lub do wyczerpania
dostępnych miejsc.

Rezerwacja i sprzedaż wyłącznie przez telefon i Internet.

[Kup książkę](#)

Społeczeństwo w likwidacji



Jerzy Baczyński

Dwa najważniejsze wydarzenia sezonu politycznego – ogłoszenie wyników wyborów w Niemczech i ogłoszenie ustaw sądowych prezydenta Andrzeja Dudy – przyniosły podobne rozstrzygnięcia: jest mniej więcej tak, jak wszyscy się spodziewali, a najważniejsza i najciekawsza gra dopiero się zaczyna. Jednak cokolwiek się stanie, dla rządzącej w Polsce formacji zmienia się kontekst zarówno zagranicznej, jak i wewnętrznej polityki. Dziś bardziej gorący wydaje się front wewnętrzny. Na dramatyczne pytanie postawione w prasowym wywiadzie przez prezesa Kaczyńskiego „Czy prezydent jest z nami?”, jednoznaczna odpowiedź nie padła. Mimo że propozycje Andrzeja Dudy zamykają się w formule „Ziobro plus”, czyli są bardziej cywilizowaną (niż zaproponowana wcześniej przez ministra sprawiedliwości) formułą naruszenia trójpodziału władzy, PiS zachował wobec prezydenta chłodny dystans. Nie padła deklaracja wojny na górze ani też pokoju na ziemi. Także opozycja, która mniej lub bardziej jawnie liczyła na „bunt Dudy”, może się czuć skonfundowana. Prezydent usytuował się gdzieś pomiędzy frontami, ale jednak zdecydowanie bliżej okopów PiS.

Andrzej Duda, ogłaszając swoje propozycje, wyraźnie pozował na ponadpartyjnego arbitra, kierującego reformę sądownictwa do „zwykłych ludzi, często krzywdzonych przez wymiar sprawiedliwości”. Ale już samo użycie formuły o „krzywdzie sądowej” – jakby żywcem zaczerpnięte ze słynnej kampanii na billboardach – odsłania pisowską naturę projektów. Tak czy owak, władza sądownicza nie jest bowiem godna samodzielnności i niezależności, z jakichś (sobie znanych) powodów krzywdzi ludzi, powinna więc podlegać surowej kontroli sprawowanej przez polityków. Z tym że najbardziej przez prezydenta, który – co Andrzej Duda uznał za oczywiste – powołuje sędziów, choć konstytucja jako żywo takiej władzy mu nie daje, ograniczając tu kompetencje głowy państwa do czynności formalnych. Zapowiadana, przez jednych z obawą, przez innych z nadzieją, „wielka wojna na górze PiS” zmierza więc do traktatu pokojowego; dlatego ciekawszy niż, w sumie przewidywalny, wynik tego trwającego kilka tygodni sporu w rodzi nie jest jego przebieg.

Nie dowiemy się, czy i w jakim stopniu „sprawa profesora Królikowskiego” wpłynęła na ostateczny kształt ogłoszonych przez prezydenta ustaw sądowych. Być może w żaden, bo nawet opozycyjni „Dudaoptymiści” nie mieli już ostatnio nadziei, że oczekiwane z takim napięciem ustawy będą się istotnie różnić od pierwotnych propozycji PiS. Niemniej otwarty atak mediów rządowych na kluczowego w tej sprawie doradcę prezydenta i to tuż przed godziną zero, nie sposób uznać za przypadkowy. Wszyscy ludzie prezydenta mogli i powinni byli odczytać przesłanie, żeby już raczej nie buntowali

Andrzeja Dudy, nie zaburzali jego lojalności wobec drużyny. Przy okazji zobaczyliśmy kolejne praktyczne zastosowanie metody dyfamacji (słowo spopularyzowane przez prezesa), tym razem w odniesieniu do drugiego, obok sędziów, najważniejszego środowiska prawniczego – adwokatury. Widać, że jeśli będzie taka polityczna potrzeba, każdy adwokat może być publicznie oskarżony o udzielanie pomocy przestępcom (zresztą zgodnie z prawdą). Tak jak ze słynnej akcji billboardowej dowiedzieliśmy się, że sędziowie okazali szczególne względy pedofilowi, że wypuścili za kaucją oszusta, jeden z nich jechał po pijanemu, a drugi ukradł spodnie. Nieważne, że bodaj w żadnej ze spraw „nie było tak, jak napisali, że było”; każde środowisko i grupa zawodowa uznane przez władzę za nieprzyjazne mogą być następne w kolejce do dyfamacji.

Ta władza we wszystkim, co robi, ma jakąś trudną do zrozumienia nadwyżkę arogancji i agresji. Jakby samo sprawowanie rządów, możliwość kształtowania rzeczywistości, nakładania obowiązków czy wydawania poleceń nie wystarczały, jakby trzeba było jeszcze kopnąć każdego, kto jest w zasięgu buta. Przecież bardzo głębokie, zgoła rewolucyjne, zmiany zaproponowane w nauce i szkolnictwie wyższym przez wicepremiera Jarosława Gowina (s. 8 i 64) zostały dość dobrze przyjęte przez środowiska akademickie, bo były z nimi jakoś konsultowane, bo nie potraktowano profesury jak zwykłych „ubeckich złogów”. Znaczna część obecnych pretensji kierownictwa PiS wobec samowoli Gowina ewidentnie polega na tym, że złamał on podstawową zasadę „dobrej zmiany”: o nic nie pytać, nikogo nie słuchać, oponentów poniewierać, robić swoje i niech lewactwo kwiczy.

Ani przed wyborami, ani po nich nikt rozsądny (łącznie z nagranyymi u Sowy politykami PO) nie twierdził, że polskie państwo jest perfekcyjnie zorganizowane, sprawne, przyjazne. Liczne środowiska (dziś traktowane *en bloc* jako wrogie elity) miały poczucie, że dotychczasowy model rozwoju się wyczerpuje, przygotowywano różne, czasem bardzo ambitne, projekty zmian. (W sądownictwie firmował je duet Gowin-Królikowski). Gdyby nie irracjonalne lęki, jakieś przykrywane agresją kompleksy pisowskiej ekipy, potrzeba godnościowego odwetu na poprzednikach, to wszystko nie musiałyby pójść na marne.

Przykład z tego tygodnia: od 1 października wracamy do poprzedniego, niższego wieku emerytalnego (raport s. 20). Ekipa PO, w rzadkim poczuciu odpowiedzialności wykraczającym poza horyzont wyborczy, zdecydowała się tę niepopularną zmianę przeprowadzić. Zgoda, popełniła błędy komunikacyjne i konstrukcyjne – można było np. nie stawiać sztywnej granicy wieku, a uzależnić emeryturę bardziej od stażu pracy, a przede wszystkim przekonywać, negocjować, uzgadniać. Ale to, co zrobił PiS, jako jedyny rząd w Europie obniżając formalnie wiek przejścia na emeryturę, to skrajny cynizm i głupota, za którą pozornym beneficjentem tej zmiany przyjdzie jeszcze zapłacić.

PiS stosuje na dłuższą metę samobójczą pedagogikę społeczną, promując obywatelską beztrochę, obojętność wobec spraw publicznych, nieufność wobec niezależnych od władzy instytucji (sądów, samorządów, mediów) oraz jakichkolwiek autorytetów (elit), poza tymi wskazanymi przez partię. Promuje się irracjonalną wiarę, że w razie czego państwo wszystko da i załatwi.

Ideologia PiS likwiduje społeczeństwo, wprowadzając w to miejsce symboliczny naród, państwo jako jego najwyższą formę istnienia i partię jako zarząd etnicznej wspólnoty. W tej konstrukcji nie ma miejsca na konsultacje, niezależne eksperyty, ucieranie racji, publiczne wysłuchania, kompromisy. Żal, bo bezsensownie tracimy czas, doświadczenie dwóch dekad, dobrą wolę i wiedzę wielu ludzi. Nie będzie z tego żadnej dobrej zmiany.

Komornik Jaki

Do politycznej walki PiS używa też teoretycznie apolitycznego fiskusa. Na wniosek komisji sejmowej Patryka Jakiego, badającej warszawską reprivatyzację, urząd skarbowy zablokował na prywatnym koncie Hanny Gronkiewicz-Waltz ponad 12 tys. zł. Tyle wynoszą, z odsetkami, cztery grzywny, które ta komisja nałożyła na prezydent Warszawy. W kolejce czekają zresztą dwie kolejne. Gronkiewicz-Waltz stwierdziła, że ich nie zapłaci, bo nie uznaje legalności komisji. Natomiast skarbowka nie uznała za stosowne nawet poczekać na wyrok Naczelnego Sądu Administracyjnego, który ma zdecydować, czy specjalna komisja działa w ogóle legalnie, skoro ingeruje w kompetencje samorządu. Co ciekawe, urząd skarbowy wszedł na konto prywatne, a nie na konto Urzędu Miasta, chociaż Gronkiewicz-Waltz została przez komisję ukarana jako prezydent Warszawy.

W Polsce wniosek do banku o blokadę pieniędzy na koncie złożyć może komornik dysponujący wyrokiem sądu, ale też wiele innych instytucji. Oprócz naczelnika urzędu skarbowego są nimi na przykład dyrektor oddziału ZUS czy wyznaczony przedstawiciel gminy. Przepisy nie zostały stworzone z myślą o obywatelu. Bank nie musi bowiem nawet informować klienta, że ten stracił prawo do korzystania z części pieniędzy. Najczęściej zainteresowany

dowiaduje się o tym, sprawdzając swoje konto. Bank powinien zablokować tylko taką kwotę, o jaką wystąpił odpowiedni urząd. Niestety, czasem zdarza się, że banki blokują najpierw cały rachunek, chociaż przestrzegają przed tym Komisja Nadzoru Finansowego. Niezapłacony w terminie mandat czy podatkowe zaległości mogą zatem całkowicie zdeorganizować życie dłużnika. Zdarzają się też różne pomyłki urzędów, których konsekwencje ponosi oczywiście zwykły człowiek.

W przypadku Hanny Gronkiewicz-Waltz, osoby zamożnej, to raczej mało istotne, ale istnieje pewne minimum do życia, którego bank nie może zablokować. Nawet gdy kwota, o której zabezpieczenie wnioskuje urząd czy komornik, jest wyższa niż środki na rachunku. Bezpieczna suma to 75 proc. płacy minimalnej, czyli obecnie 1500 zł. Tyle w każdym miesiącu musi pozostać do dyspozycji klienta. Jednak limit niewykorzystany w jednym miesiącu nie przechodzi na kolejny.

Na tym zresztą nie koniec zagrożeń dla naszych pieniędzy. Banki bowiem mogą też same zablokować konto klienta nawet na 72 godziny, jeśli uznają, że środki na nim pochodzą z działalności przestępczej. Muszą wówczas zgłosić sprawę dla prokuratury, która decyduje, co dalej. W ten sposób państwo każe instytucjom finansowym walczyć z terroryzmem czy praniem brudnych pieniędzy. To, co w skarpecie, jednak bezpieczniejsze?

C.K.

KOMENTARZ



Ewa Siedlecka

Centrum Manipulacji Społeczeństwem

PiS metodycznie i konsekwentnie lepi nowego obywatela. Ma temu służyć nowa szkoła podstawowa, media publiczne, a także organizacje obywatelskie.

„To wy jesteście prawdziwym polskim społeczeństwem obywatelskim. To dzięki wam Polska się zmienia i polski rząd stabilnie i odpowiedzialnie prowadzi rozwój kraju” – tymi słowami 18 grudnia zeszłego roku przemawiał do demonstrowających poparcie dla władzy PiS Klubów Gazety Polskiej wicepremier Piotr Gliński, pomysłodawca ustawy o Instytucie Wolności, Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego. Ustawy, dzięki której PiS pokieruje społeczeństwem obywatelskim w Polsce. Rolą Narodowego Centrum ma być bowiem sterowanie strumieniem publicznych dotacji na cele uznane przez kierownictwo partii i rządu za słuszne.

Projekt powstał w czeluściach rządowych. Konsultacje polegały na tym, że przed ujawnieniem projektu urzędnicy rządowi jeździli po Polsce i promowali ideę powstania Centrum wśród lokalnych

organizacji pozarządowych. Pomysł propagandowy taki sam jak w przypadku „reformy” prokuratury i sądownictwa: poszczuć „doły” (tu: organizacje lokalne) na „elity” (tu: „egoistyczne wielkie organizacje z Warszawy”). Urzędnicy przekonywali organizacje lokalne, że teraz cały strumień dotacji popłynie do nich. A jednocześnie na spotkaniach ze „swoimi” zapewniano (minister w Kancelarii Premiera Wojciech Kolarski), że pieniądze popłyną do Ruchu Kontroli Wyborów, Klubów Gazety Polskiej, Rodziny Radia Maryja, Solidarnych 2010.

Ustawę zaopatrzone, już w trakcie prac w Sejmie, w preambułę „Państwo polskie wspiera wolnościowe i chrześcijańskie ideały obywateli i społeczności lokalnych, obejmujące tradycję polskiej inteligencji, tradycje niepodległościową, narodową, religijną, socjalistyczną oraz tradycję ruchu ludowego, dostrzegając w nich kontynuację wielowiekowych tradycji Rzeczypospolitej Polskiej”. Na pewno nie zmieszczą się tu projekty równościowe dotyczące kobiet, mniejszości seksualnych czy np. pomocy uchodźcom niebędącym chrześcijanami.

Wszystkie pieniądze – także te unijne – będą dzielone centralnie. Przez całą w pełni zależne od rządu. Udział w nich przedstawicieli społeczeństwa obywatelskiego będzie formalny. Pieniądze mają być – jak dziś – rozdawane w konkursach, ale konkursy nie będą już transparentne. A o ich wyniku decyduje partia. Gdy dziś ministrowie PiS nagiennie łamią procedury konkursowe – można im to publicznie wykazać. Odkąd będzie to robiło Centrum – tej

niewygody władza mieć nie będzie. A niewłaściwy projekt zawsze może być odrzucony jako „sprzeczny z preambułą ustawy”. Czyli za mało chrześcijański, patriotyczny i tradycyjny. A gdyby tego było za mało, dyrektor Narodowego Centrum ma jeszcze co roku budżet do rozdania „po uważaniu” dowolnie wybranym organizacjom.

Centrum ostrzy zęby także na Fundusze Norweskie, ale na razie Ambasada Norwegii daje odpór. Po akcji „Sprawiedliwe sądy” możemy się więc spodziewać kolejnej „akcji promocyjnej” w wykonaniu Polskiej Fundacji Narodowej: kampanii przeciw norweskiemu rządowi. Na razie, chałupniczo, robi ją Instytut Ordo Iuris, przekonując Polaków, że opresyjny rząd Norwegii zabiera Norwegom dzieci.

W tej chwili Senat głosuje nad tą ustawą. Oczywiście „bez poprawek”. Organizacje pozarządowe będą zapewne apelowały do prezydenta, żeby tę ustawę zawetował jako sprzeczną z zasadami demokracji. I preambułą konstytucji, która obejmuje „wszystkich obywateli RP”, a więc pluralizm i różnorodność uznaje za wartości konstytucyjne. Pieniądze publiczne zaś to pieniądze wszystkich podatników. Więc cele, którymi będą wspierane, powinny być tak pluralistyczne, jak społeczeństwo.

Zobaczmy, czy tym razem prezydent wybije się na niepodległość. Oczekiwanie, by publiczne pieniądze były rozdawane w sposób transparentny i z udziałem samego społeczeństwa, nie jest szczególnie wygórowane. No i nie jest wbrew programowi wyborczemu PiS. Temu deklarowanemu publicznie, oczywiście.



Reforma jak nie PiS-u

Tycząca szkolnictwa wyższego reforma Gowina, jeśli trafi do Sejmu, może być ewenementem – pierwszą ustawą rządową brzoną przez opozycję przed posłami obozu PiS.

Poglądy stanowią duży problem tych, którzy zmieniają sojuszników politycznych. Czy trzymać się dawnych przekonań i zachować wierność sobie, czy zmieniać je tak, by pasowały do nowej partii? Minister Gowin znalazł się w takiej pułapce. Wyszedł z PO, bo nie mógł realizować swoich aspiracji, ale okazuje się, że teraz nie jest w stanie dopasować swoich pomysłów do nowego otoczenia. Dobrym przykładem jest projekt reformy nauki i szkolnictwa wyższego. I to właśnie ta reforma ucierpi najbardziej.

Ogłoszony przez ministra Gowina projekt reformy stał się okazją do zademonstrowania przez polityków PiS niechęci wobec wicepremiera. I zamiast rozmawiać o proponowanych rozwiązaniach, o nauce, media zastanawiały się, na ile wicepremierowi utarło nosa, jak silnie go upokorzono. Krytykę wiązano z poparciem przez Gowina weta prezydenta Dudy.

Dziś mamy ciekawy dokument i ważne pomysły, ale już wiadomo, że projekt będzie zasadniczo zmieniony na różnych etapach. Zmiany zostaną dokonane w trakcie konsultacji prowadzonych w samym rządzie. Każdy minister dołoży swoje pięć groszy, tym chętniej, że poszedł sygnał od ważnych polityków PiS, że można reformę krytykować i zmieniać. PiS stał murem za złą i niepotrzebną reformą edukacji minister Zaleskiej, ale teraz w Sejmie posłowie PiS ochoczo zaczęli przerabiać ustawę Gowina, „Konstytucję dla nauki”, jak dumnie nazwał on swój dokument. I reformę czeka los podobny do tego, jaki polskiej konstytucji zgotował PiS. Reforma Gowina jest bowiem zaprzeczeniem logiki i sposobu wprowadzania zmian przez rząd PiS.

Reformy, czy – jak mówi opozycja – deformy PiS, burzą to, co dotychczas zrobiły rządy III RP. Często bez potrzeby, tylko po to, by było odwrotnie, by pokazać, że dotychczasowe przemiany w Polsce były złe. Reforma Gowina odwrotnie – kontynuuje i pogłębia wiele propozycji PO. Poprawia i usuwa niepotrzebne bariery, ale „nie zawraca kijem Wisły”. Proponuje finansowanie, które premiuje najlepsze uczelnie i elastyczność w kształtowaniu ich wewnętrznej struktury. Zawiera szereg sensownych pomysłów, ale i sporo takich, które warto poprawić. Jest to jednak dużo dalszy krok na drodze obranej przez poprzedni rząd, co można sprawdzić, przeglądając Program rozwoju szkolnictwa wyższego i nauki na lata 2015–2030, opublikowany pod koniec rządów PO-PSL. I to nie będzie się podobać politykom PiS, podobnie jak nacisk na otwartość, nowoczesność, propozycje podążania drogą zachodnich uniwersytetów.

Nowe rozwiązania są też zaprzeczeniem pomysłów PiS dążącego na każdym kroku do centralizacji, pełnej kontroli, obsadzania stanowisk swoimi. Logika polityczna tej formacji już doprowadziła do uchwalenia w 2016 r. zmian w obsadzaniu rad naukowych i dyrektorów państwowych instytutów badawczych. Teraz instytuty są skolonizowane, a dyrektorzy wyrzuceni. Czy tego typu poprawki do reformy Gowina wprowadzą polityczni koledzy? Można przyjąć, że tak. I sensowne koncepcje zamienią w karykaturę reformy.

Przygotowywanie reformy szkolnictwa, tak odmienne od dotychczasowej praktyki PiS, było sygnałem wysyłanym przez środowisko Gowinowej Polski Razem do swoich koalicjantów z PiS, że „nie należy przeprowadzać zmian, tak jak wy to robicie”. Nie rewolucja, lecz ewolucja, nie metody bolszewickie, ale konsultacja i dialog.

Zwykle minister najpierw przygotowuje reformę, po akceptacji premiera. Po zakończeniu procesu legislacyjnego w rządzie projekt idzie do szerokich konsultacji społecznych. W przypadku reformy szkolnictwa wyższego kolejność została odwrócona. Zaczęło się od szerokich, ponadrocznych, konsultacji społecznych na konferencjach środowiskowych, a dopiero na końcu projekt trafił do obróbki w rządzie. Minister Gowin zwrócił się więc na wstępie bezpośrednio do swojego suwerena, akademików, ponad głowami polityków i urzędników. Jakby od początku nie wierzył innym ministrom i posłom z PiS, że zachowają idee i rozwiązania jego projektu. Okazuje się, że miał rację.

Odnosi się wrażenie, że ta reforma ma również na celu pokazanie odrębności środowiska politycznego Jarosława Gowina – jesteśmy częścią układu rządzącego, zdają się mówić gowinowcy, działania PiS często nas brzydzą, ale musimy trzymać się razem, jeśli chcemy współrządzić. Potrafimy jednak postępować zgodnie z regułami demokratycznymi. Temu służyły konsultacje z akademikami, długi proces przygotowywania rozwiązań i ich obrany kierunek stawiający na jakość uczenia i badań. Taką też funkcję miało pełnić nazwanie dokumentu „Konstytucja dla nauki, reforma inna niż wszystkie”. Wicepremier głosował za złamaniem polskiej konstytucji ze względów pragmatycznych (choć „się nie cieszył”), ale samą konstytucję pewnie ceni, bo nazwał tak swój dokument.

Problem w tym, że niewiele osób wyłapie te polityczne niuanse, a odzyskiwanie wiarygodności będzie trudne. Minister nauki jest wicepremierem całego rządu, jedną z jego twarzy. A cały ten kontekst polityczny spowoduje, że najbardziej ucierpi na tym reforma nauki i szkolnictwa.

Jan Koza



© JAN KOZA



Dom Nowoczesny to program informacyjny przygotowany przez Grupę Polskie Składy Budowlane. Prezentowane są w nim najnowsze technologie i materiały wiodących producentów.

↓ Darmowe e-booki do pobrania na www.domnowoczesny.com



URSA

Izolacja dla lepszego jutra

Szeroki wybór materiałów do izolacji termicznej i akustycznej



20
LAT W POLSCE
URSA

Od 20 lat dbamy
o komfort w Twoim domu!



www.ursa.pl

Sprawdź dostępność produktów w wybranym składzie budowlanym Grupy PSB. Lista dostępna jest na www.grupapsb.com.pl

Kup książkę



To już nie będzie ta sama Angela Merkel. Dla Niemiec, Europy i także dla nas.

Chadecja CDU/CSU uzyskała 33 proc. głosów (najgorszy wynik od 1949 r.), tracąc około miliona wyborców po niebotycznym sukcesie w 2013 r. Dla koalicyjnej socjaldemokracji 20,5 proc. to także najgorszy wynik w historii republiki. Tymczasem wejście na trzecim miejscu do Bundestagu populistów z Alternatywy dla Niemiec AfD (z 12,6 proc.) otwiera w historii Republiki Federalnej całkiem nowy rozdział. Po raz pierwszy od lat 50. w Bundestagu znajdzie się partia „antysystemowa”, której prominentni przedstawiciele wzywają Niemców do powstania z kolan, odrzucenia „kultu winy”, postulują strzelanie na granicach do uchodźców, pozbycie się migrantów z podwójną tożsamością kulturową i przywrócenie dumy narodowej poprzez uznanie militarnych sukcesów Wehrmachtu. AfD jest jeszcze dość bezkształtną zbieraniną, a nie partią wodzowską. Współprzewodnicząca Frauke Petry już zapowiedziała, że założy własną frakcję. 94 posłów AfD nie będzie więc powtarzać odgórnie nakazanego przekazu dnia. Niemniej już zapowiedziano „odrzuć poprawności politycznej”, prowokacyjne „łamanie tabu”, a w praktyce pewnie także norm zwykłego dobrego wychowania.

Poza AfD i powracającymi do Bundestagu liberałami z FDP nie ma w tych wyborach promiennych zwycięzców, choć w telewizyjnej „debacie słoni” – rzeczników partii, które weszły do parlamentu – wszyscy nadrabiali miną. Angela Merkel, bo jednak wygrała. Martin Schulz, bo ogłaszając przejście do opozycji, mógł nabrać wigoru, którego zabrakło mu w kampanii. Partia Lewicy, bo coś tam jej przybyło. A Zieloni i liberałowie – bo arytmetycznie są skazani na współrzędnie z Angelą Merkel.

Koalicja CDU/CSU-FDP-Zieloni – zwana jamajską od czarno-żółto-zielonej flagi karaibskiej wyspy – jest po zerwaniu przez SPD dotychczasowej wielkiej koalicji jedyną możliwą większość. Ale byłaby to koalicja bardzo egzotyczna.

1. W osłabionej chadecji już się zaczyna rumor. Straty na rzecz AfD poniosła nie tylko CDU, ale i bawarska CSU. 38,5 proc. w Bawarii to także najgorszy od 1949 r. wynik. I to na rok przed wyborami do monachijskiego Landtagu. Rozwiała się więc doktryna legendarnego szefa CSU Franza Josefa Straussa, że w Republice na prawo od CSU może być tylko ściana. Toteż obecny szef partii Horst Seehofer już zapowiedział zwrot na prawo, aby „z wyraźnym profilem” zamknąć prawie skrzydło.

2. Taki manewr CSU trudno będzie pogodzić z postawą Zielonych tradycyjnie nastawionych na integrację uchodźców. Zresztą Zielonym także nie bardzo jest po drodze z liberałami z FDP. Bo Christian Lindner z FDP (podobnie jak CSU Seehofer) chciałby złagodzić stosunki z Rosją w interesie niemieckich firm. „Jamajki” próbowano już na poziomie komunalnym i landów – w Hesji, w Zagłębiu Saary i Szlezewiku-Holsztynie, ale nie były zbyt stabilne. A w Bundestagu zakrawać może na kwadraturę koła.

3. FDP jest poniekąd partią nową, stworzoną prawie z niczego przez Christiana Lindnera. Po czteroletniej absencji w Bundestagu partia potrzebuje czasu, by najpierw okrzepnąć. Najlepiej w opozycji. Wprawdzie FDP odniosła sukces, wracając, ale wciąż ciąży na niej trauma rozsypania po pierwszej koalicji z Angelą Merkel w latach 2009–13. Teraz trzeba wiele taktu, talentu, samozaparcia i zdolności do kompromisu, by manewrować między zdecydowanie prawicową CSU, ekologicznymi Zielonymi i osłabioną Angelą Merkel.

4. Wiadomo, że bój to jest Merkel ostatni... Tuż po ogłoszeniu wstępnych wyników jednemu z niemieckich komentatorów wyszło się wręcz, że właśnie zaczęła się walka o schedę po Angeli. Nawet jeśli przetrzyma całą kadencję, bo nie wydaje się dziś, by którakolwiek partia była zainteresowana przedwczesnymi wyborami, to płyty tektoniczne niemieckiej polityki będą się nadal przesuwają, powodując kolejne wstrząsy wywołane kwestiami i socjalnymi, i pokoleniowymi. Do głosu dochodzą wyborcy, dla których nie tylko wojna, ale i podział Niemiec oraz ich zjednoczenie po 1989 r. to prehistoria.

5. Jest jeszcze kolejny aspekt tej powyborczej konstelacji – Partia Lewicy. Procentowo minimalnie zyskała, ale utraciła nimb jedynej partii protestu w Bundestagu, mogącej ponoć odwołać się do stoletniej tradycji socjaldemokratycznych dysydentów, którzy w 1914 r. nie poparli w Reichstagu kredytów wojennych. Dziś jednak Partia Lewicy ze swymi 9,2 proc. w Bundestagu jest niestety tylko torbielą mniej lub bardziej zasadnych roszczeń socjalnych przy chłodnym stosunku do UE i niechętnym do NATO. Historycznie i kulturowo Lewica jest przeciwieństwem AfD, jednak mentalnie i strategicznie ma z nią pewne punkty stykowe – choćby wyrozumiały stosunek do Rosji Putina.

Pozostaje w końcu pytanie, co ten otwierający się okres przejściowy w Niemczech może oznaczać dla Europy, sojuszu atlantyckiego, roli Niemiec w polityce światowej, a w końcu i dla nas między Odrą a Bugiem?

A. Angela Merkel być może nadal jest najsilniejszą kobietą w polityce światowej, ale słabszą niż przed 24 września, ponieważ dużo więcej energii będzie musiała poświęcać na utrzymanie koalicji i przygotowanie następcy. W Europie brexitu, permanentnego kryzysu w Grecji, planu przebudowy UE Macrona i Junckera jej głos będzie się oczywiście liczył, ale uwaga może być bardziej niż dotychczas nastawiona na porządkowanie twardego rdzenia UE. Tym bardziej że podnoszenie Francji ze strukturalnej zapaści wymaga wydatnej niemieckiej pomocy.

B. Zmniejsza się waga pani kanclerz jako oponentki Donalda Trumpa, który – zajęty przekrzykiwaniem się z władcą Korei Płn. i szarpaniną z Iranem – z nieskrywaną satysfakcją może reagować na osłabienie kobiety, którą jego własna opozycja uważała za nadzieję i przywódczynię wolnego świata.

C. Również Putin może zacierać ręce. Rosyjskie boty generujące internetową propagandę AfD zadziały. Z rządu federalnego wypada zdecydowany w kwestiach Krymu i Doniecka Martin Schulz, a ministrem spraw zagranicznych może zostać Christian Lindner, który chciałby „zamrozić” kwestię krymską.

D. Można się obawiać, że mało optymistycznie będą się rozwijać sprawy polsko-niemieckie. I to z kilku powodów. Zarówno na czele Zielonych, jak i liberałów nie ma już tej formacji polityków z pokolenia Westerwellego czy Fischera, którzy Polskę kojarzyli z triumfalnym marszem na Zachód. A z kolei w chadecji wyraźnie ulatnia się zrozumienie dla polskich bólów i odrębności. Tym bardziej że Polska PiS nie mówi językiem chadecji, liberałów czy zielonych, lecz AfD. I widać to było w czasie „debaty słoni”, gdy Alexander Gauland z AfD popierał polskie stanowisko w kwestii uchodźców. Jednak chyba nie tyle z empatii do Polski, ile z chęci otwarcia furtki do wyjścia z Unii tym, którym w niej niewygodnie. AfD, reprezentująca „miękką historyczny rewizjonizm”, bez wątplenia skorzysta też z wrzuconego przez PiS tematu reparacji wojennych.

ADAM KRZEMIŃSKI



Katalońska gorączka

Katalończycy oskarżają Madryt o stosowanie wobec nich metod rodem z epoki dyktatora Francisco Franco.

Rząd Hiszpanii uznał szykowane w Katalonii na 1 października referendum niepodległościowe za sprzeczne z konstytucją, więc nielegalne. Spór ciągnie się od dawna. Za walką o referendum kryje się rosnące poczucie, że oba narody: Kastylijczycy i Katalończycy nie są w stanie

się zrozumieć i porozumieć tak, by żyć wspólnie w jednym państwie. Dla wielu Katalończyków jest to nie tylko kwestia praw obywatelskich, ale także tożsamości i godności indywidualnej i zbiorowej. W pilotażowym referendum w 2014 r. prawie 85 proc. oddało głos za niepodległym

państwem katalońskim, ale frekwencja była poniżej 50 proc. Teraz spór dramatycznie się zaostrzył. Prawicowy rząd centralny wysłał do Katalonii urzędników państwowych i państwową policję, aby nie dopuścić do głosowania. Doszło do zatrzymań osób zaangażowanych w organizację referendum, zablokowania kont rządu autonomicznego (Generalitat), zamknięcia portali z informacjami, gdzie głosować, konfiskat urn i kart wyborczych.

Niepodległościowcy mówią o pełzającej likwidacji autonomii. Na demonstrację przeciwko referendum zjechała do Barcelony skrajna prawica falangistowska. Na wiecach protestacyjnych gromadzących tysiące Katalończyków słychać porównania polityki Madrytu do metod dyktatury Franco, tępiącej język, kulturę i tożsamość Katalończyków. Władze autonomii zapowiedziały, że zaraz po oficjalnym ogłoszeniu wyników, jeśli opcja „Si” (tak) zdobędzie większość, ogłoszą niepodległość Katalonii. Lecz po Barcelonie krążą plotki, że gdyby aresztowano rząd autonomiczny, niepodległość zostanie jednostronnie ogłoszona jeszcze przed referendum.

Więcej – s. 50.

Komisja bez niuansów

Amerikanie powołali do życia komitet ds. śledztwa przeciwko Rosji, a dokładniej do sprawdzenia, dlaczego Rosja atakuje Stany Zjednoczone i bezustannie wtrąca się w amerykańską demokrację. Przy okazji narodzin powstał też film promujący działalność komisji. Wystąpił w nim jeden z jej członków, znany amerykański aktor Morgan Freeman, który przekonywał, że Ameryka jest w stanie wojny z Rosją, a Władimir Putin jest agentem KGB. Freeman opowiadał też o akcjach rosyjskich hakerów i manipulowaniu podczas zeszłorocznej amerykańskiej kampanii wyborczej. Tłumacząc wszystko chęcią zemsty na USA za rozpad ZSRR. Dwuminutowe nagranie, które można obejrzeć na YouTube, pachnie trochę propagandą, więc ostra reakcja ze strony Kremla nie dziwi. Gorsze jednak jest to, że komitet zajmujący się badaniem Rosji, jako organizacja pozarządowa, która cel ma szczytny, nie ma w swoim składzie ekspertów i badaczy, którzy naprawdę znalazliby się na Rosji i zajmowaliby się nią zawodowo od lat.

Morgan Freeman, który przedstawiał komisję w filmie, z Rosją ma tyle wspólnego, że zrealizował dwa filmy z rosyjskim reżyserem Timurem Bekmambetovem. A kolega po fachu Freemana Rob Reiner, też członek komisji, raczej wcześniej w ogóle nie miał kontaktu z Rosją. W skład komisji wchodzi też Max Boot, urodzony w Moskwie konserwatywny komentator i historyk wojskowości, który jednak wyjechał do Stanów jako młody człowiek i potem w żadnej ze swoich najważniejszych prac nie zajmował się Rosją. James Clapper, były szef wywiadu USA, zapewne zetknął się z Rosją z racji swoich doświadczeń zawodowych, ale to już przeszłość. Prawdziwi eksperci od Rosji, których w Stanach nie brakuje, twierdzą, że po latach szczytowego zainteresowania Rosją i boomu na poznanie kultury i języka, ostatnio rusofobia powróciła, a każda próba zniuansowania sytuacji jest postrzegana jako zdrada.

Chopin przegrał z janczarami



© GETTY IMAGES

Marsz żałobny Chopina, grany w Turcji od 1932 r. podczas uroczystości pogrzebowych poległych żołnierzy, policjantów i innych przedstawicieli służb mundurowych, zastąpił hymnem janczarów. Zaczęło się od pochówku policjanta, którego koledzy wiosną zagłuszali marsz Chopina, śpiewając starą osmańską pieśń „İtri” Sagaha Tekbira. „İtri” zawiera teksty zaczerpnięte z Koranu i, jak twierdzą władze, jest utworem zakorzenionym w tureckiej kulturze, więc lepiej oddaje to, za co walczyli i za co ginęli tureccy żołnierze, męczennicy. Poza tym przedstawiciele tureckiej władzy uznali też, że muzyka cudzoziemca, w dodatku niemużłamanina, nie jest odpowiednia dla tureckich zmarłych.

Po chustach w szkołach, na uczelniach i w parlamencie zniknęła z podstawy programowej szkoły teoria Darwina, podręczniki zostały odchudzone z europocentryzmu, a uczniowie zgłębiają odkrycia islamskich uczonych, uczą się nowej historii i poznają islamską poezję i literaturę. Islamizacja Turcji postępuje, a Chopin jest tylko jedną z jej ofiar.

Rozmowy przy łamaniu konstytucji

Po ujawnieniu przez prezydenta **Andrzeja Dudę** niektórych rozwiązań, jakie znajdują się w jego projektach ustaw o SN i KRS, wiemy tyle, że klincz pomiędzy nim a PiS trwa nadal.

EWA SIEDLECKA

Wiemy też jednak, że zarówno prezydent, jak i PiS zgadzają się co do tego, że trzeba upolitycznić wybór do obu tych ciał. I że uzasadniają to pilną potrzebą usprawnienia sądownictwa i uczynienia go sprawiedliwszym. „Polacy”, „obywatele”, „suweren” zawsze był dla partii Kaczyńskiego zasłoną dymną. Zarówno w propozycji

PiS, jak i prezydenckiej najważniejszym celem jest wymiana kadr – tak w Sądzie Najwyższym, jak i w Krajowej Radzie Sądownictwa.

I to wymiana, nad którą pełną kontrolę będą mieli politycy. Spór toczy się o to, kto będzie ten proces kontrolował: prezydent czy PiS.

Ogłoszone w poniedziałek przez prezydenta propozycje nie wróżą łatwego porozumienia między nim a rządem. Wiadomo, że PiS nie zgodzi się, by to prezydent miał władzę nad powoływaniem sędziów do KRS i by to on decydował, który sędzia po osiągnięciu obniżonego wieku emerytalnego zostanie w Sądzie Najwyższym (np. czy I Prezes Małgorzata Gersdorf będzie mogła dokończyć swoją sześciolletnią kadencję). Nie zgodzi się też na to, by nie było stuprocentowej wymiany kadr w Sądzie Najwyższym. Prezydent zaś oświadczył, że na taką jednorazową wymianę się nie zgodzi.

Andrzej Duda, ogłaszając w lipcu swoje decyzje o zawetowaniu ustaw i przedstawieniu własnych propozycji, mówił, że jego propozycje będą zgodne z konstytucją. Ale dyskusja o konstytucyjności propozycji prezydenta i PiS jest dyskusją jedynie o tym, który projekt jest mniej niekonstytucyjny. PiS chciał wyrzucić jednego dnia wszystkich sędziów SN, a ich następców miałyby powołać nowa Krajowa Rada Sądownictwa spośród kandydatów przedstawionych przez ministra-prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobrę. To niekonstytucyjne. Ale propozycja prezydenta, by wprowadzić wcześniejszy wiek stanu spoczynku i w ten sposób pozbyć się ok. 40 proc. sędziów z SN, też jest niekonstytucyjna, bo tak samo jak poprzednia przerywa sędziom kadencję. Nowe zasady można wprowadzać dla nowych sędziów.

Podobnie nie ma znaczenia, kto miałby decydować o tym, który sędzia może, po osiągnięciu wieku stanu spoczynku, dalej sprawować urząd: prezydent czy minister-prokurator generalny. Obaj są przedstawicielami władzy wykonawczej i fakt, że prezydent ma silniejszą legitymację, jako wybrany na urząd w powszechnych wyborach, niewiele zmienia. O pozostaniu sędziego na stanowisku powinna, jak dotąd, decydować KRS, złożona z przedstawicieli władzy sądowniczej, wykonawczej i ustawodawczej. W ten sposób realizuje się prawidłowo zasada trójpodziału i wzajemnej kontroli władz.

To samo z propozycją awaryjnego wyznaczania przez prezydenta – w razie niezalezienia w Sejmie postulowanej przez niego



większości 3/5 głosów – sędziów zgłoszonych do KRS. Nie ma wielkiej różnicy, czy robi to władza wykonawcza – prezydent, czy ustawodawcza – Sejm. Obie propozycje naruszają konstytucyjną równowagę władz i niezależność sądownictwa. Parlament już wybiera członków KRS: swoich pięciu przedstawicieli. Pomysł, by wybierał także przedstawicieli sędziów, jest literalnie niezgodny z konstytucją. „Przedstawiciel sędziów” to przedstawiciel sędziów. Władzy wykonawczej czy ustawodawczej nic do tego. I nie ma większego znaczenia to, czy sędziów do KRS Sejm będzie wybierał 3/5 głosów, a więc w porozumieniu z częścią opozycji. Prezydent jest tego świadom, dlatego zaproponował zmianę konstytucji.

Ale zapisanie w niej wyboru sędziów do KRS przez Sejm lub prezydenta nic nie pomoże. Jeśli wszyscy członkowie KRS będą przechodzić przez polityczne sito, nie będzie ona mogła pełnić swojej konstytucyjnej roli: stania na straży niezależności sądów i niezawisłości sędziów. Oczywiście wiemy, że zarówno PiS, jak i prezydentowi właśnie o to chodzi. Tyle że to zamiary sprzeczne z konstytucją.

Zarówno PiS, jak i prezydent przekonują, że ich propozycje mają na celu usprawnienie sądownictwa i danie ludziom kontroli nad wymiarem sprawiedliwości. Tak samo było przy „naprawie” Trybunału Konstytucyjnego. PiS przekonywał, że TK sądzi sprawy polityczne zamiast spraw „zwykłych ludzi”. W efekcie sądzi dziś – jeśli w ogóle – wyłącznie sprawy polityczne.

Usprawnić sądownictwo miała ustawa o ustroju sądów powszechnych. I właśnie obserwujemy to usprawnianie: minister-prokurator Zbigniew Ziobro zaczął od przerywania kadencji prezesa Sądu Okręgowego w Łodzi, który przez dwa lata spektakularnie poprawił sprawność pracy tego sądu. Przerwał też kadencję trzem wiceprezesom Sądu Okręgowego w Warszawie, również uważanym za sprawne i merytoryczne. Tak też będzie wyglądała pisowska reforma Sądu Najwyższego i Krajowej Rady Sądownictwa.

„Dla ludzi” ma być „uspołecznienie” Sądu Najwyższego. Uspołecznienie ma go wprowadzenie do sądenia ławników ludowych. Ławnicy są w sądach powszechnych – mogą być i w Najwyższym. Tyle że wybierać miałby ich Senat, czyli znowu politycy. A konkretnie politycy partii rządzącej, którzy mają w Senacie bezwzględną większość. Wprawdzie kandydatów zgłaszać mogłyby „grupy obywateli”, ale ciekawe, kogo wybiorą senatorowie PiS, jeśli do wyboru będą mieli np. kandydatów zgłoszonych przez KOD, a z drugiej strony przez Kluby Gazety Polskiej i Rodzinę Radia Maryja?

Ławnicy mieliby sędzić w Izbie Dyscyplinarnej i Izbie Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych. Prawo do skargi nadzwyczajnej, którą będzie mógł wnieść każdy, kto czuje się skrzywdzony wyrokiem sądu, to kolejna propozycja podobno „dla ludzi”. Ale czy wszystkich? Skargę wnieść można by za pośrednictwem konkretnych organów. Wszystkie one są dziś politycznie obsadzone przez PiS – z wyjątkiem rzecznika praw obywatelskich. I nawet by wnieść taką skargę za pośrednictwem grupy parlamentarzystów, musiałaby mieć ona akceptację marszałka Sejmu.

Poza tym „skarga nadzwyczajna” byłaby de facto czwartą instancją w polskim sądownictwie, co z pewnością nie poprawi sprawności sądów i nie przyspieszy rozpatrywania spraw. W dodatku tworzyłaby permanentny stan niepewności prawa, skoro wyrok można by podważać w nieskończoność.

Stworzenie dla rozpatrywania skargi nadzwyczajnej specjalnej izby w Sądzie Najwyższym jest konstytucyjnie podejrzane. Nie wiadomo, kto miałby wyznaczać sędziów do tej izby. Gdyby działało się to w drodze losowania – jest to do pomyślenia. Ale obawiam się, że politycy zechcą zadbać, by to oni mieli

na to decydujący wpływ – jak przy wyborze sędziów do Trybunału Konstytucyjnego. Podobnie z Izłą Dyscyplinarną.

Prezydent nie pokazał – przynajmniej do czasu zamykania tego wydania tygodnika – projektów ustaw, a jedynie je omówił. Diabeł zawsze tkwi w szczegółach. Takich właśnie jak sposób powołania sędziów do nowych izb. Nie wiemy też, czy prezydent zgodził się z PiS, że można rozwiązać Krajową Radę Sądownictwa, przerywając jej kadencję, i powołać nową. O ustawie o KRS w ogóle wypowiadał się enigmatycznie. I zaprosił kluby parlamentarne na konsultacje, czy zgodzą się zmienić konstytucję tak, by w razie klinczu w Sejmie przy powoływaniu „przedstawicieli sędziów” do KRS – gdy nie zbierze się większość 3/5, to on, prezydent, mógłby wskazywać tych sędziów. PO nie poszła, reszta klubów propozycję odrzuciła. Prezydent wykazał się elastycznością i natychmiast zgłosił następny pomysł: że wtedy każdy poseł będzie mógł głosować tylko na jednego kandydata. Nie wiadomo, co dokładnie miał na myśli: że wtedy będzie decydowała zwykła większość czy może że w prezydenckim projekcie, tak jak w pisowskim, przewiduje się rozwiązanie dotychczasowej Rady i wybranie hurtem następnej?

W tym pierwszym przypadku byłaby szansa, by do KRS trafili nie tylko sędziowie wskazani przez naprędcę powołane w tym celu pisowskie stowarzyszenie sędziów, ale też np. przez Forum Współpracy Sędziów, czyli sędziowski samorząd. Ale komentarz szefa klubu PiS Ryszarda Terleckiego po spotkaniu u prezydenta: że jego propozycja jest „ciekawa”, może świadczyć o tym, że ta druga wersja, z całkowitym rozwiązaniem KRS, jest bardziej prawdopodobna.

Tak czy inaczej, wybór „przedstawicieli sędziów” przez posłów narusza konstytucję. Zaproponowana przez prezydenta dyskusja toczy się więc nad rozwiązaniem mniej czy bardziej niekonstytucyjnym.

Wyraźnie widać, że tak oczekiwane ogłoszenie własnych projektów przez prezydenta nie posunęło sprawy „reform” KRS i SN do przodu. Otworzyło po prostu nowy rozdział politycznych negocjacji pomiędzy „obozem prezydenta” a PiS. To wciąż rozgrywka w obozie władzy, przy której reszta tylko statkuje. O tym, że taki właśnie jest zamiar prezydenta Dudy, może świadczyć to, że przed negocjacjami nie ujawnił pełnego tekstu projektów. Na razie jego jest na wierzchu: bez jego podpisu PiS nie wprowadzi żadnej ustawy. Musiałby zmienić konstytucję, usuwając z niej prawo prezydenckiego weta.

Gdyby PiS oddał więcej władzy prezydentowi – Duda wzmocniłby swoją pozycję we wszelkich targach politycznych z prezydentem Kaczyńskim i rządem – choćby w sprawach wojska. Na razie jako broń ma wetowanie ustaw (zaskarżanie do Trybunału Konstytucyjnego zdominowanego przez PiS mija się z celem) i odmowę nominacji: generalskich, sędziowskich czy profesorskich. Jeśli zyska większy wpływ na KRS i SN – będzie miał więcej argumentów.

PiS z pewnością nie zechce mu ich dać. I mamy klincz, w który prezydent angażuje opozycję, rzucając choćby propozycję zmiany konstytucji. I opozycja ma kłopot, bo tak czy inaczej naraża się na zarzut „opozycji nieodpowiedzialnej”. Czy nie przyjdzie na rozmowy – jak PO, czy przyjdzie i obwieści, że na nic nie zamierza się zgadzać – jak Nowoczesna. A jeśli podejmie tę debatę, da się wciągnąć w grę: bardziej czy mniej naruszyć konstytucję?

Opozycja więc jak zwykle dostanie w plecy. Ale spór pomiędzy prezydentem a PiS opóźniający uchwalenie tych kolejnych „ustaw naprawczych” jest jakąś – choćby ułomną – polisą bezpieczeństwa dla niezależności SN i dla zdolności wypełniania konstytucyjnej roli przez Krajową Radę Sądownictwa. I tu rola prezydenta jest pozytywna. Zapewne bezwiednie. ■